

Nazwisko **CHROSTOWSKA**

Imiona **HELENA**

Pseudonim

Z domu

Data urodzenia **1880** Miejscowość, kraj **Łódź Polska**

Data śmierci **06-04-1975** Miejscowość, kraj **BRAZYLIA**

Lat życia

Adres cmentarza

Źródła: **LUD Brazylii 30-09-1975**

LUD BRAZYLIA 30-9-75 TADEU KARASEK
Wspomnienie posmiertne
o Helenie Chrostowskiej



Kiedy rozpoczął się XX-ty wiek, ona miała już dwadzieścia lat i troje dzieci.

Przybyła z Łodzi, przemysłowego miasta Polski. Opuściła ojczyznę licząc za ledwie osiem lat, ale jeszcze przed wyjazdem rozpoczęła naukę w Szkole Podstawowej i nauczyła się pisać i czytać. Poza swym językiem ojczystym opanowała jeszcze, z pewną łatwością, rosyjski i niemiecki. Po przybyciu tu miała przez to ułatwiony kontakt z Brazylijczykami. Oto jak sama opowiadała o swojej podróży:

“Wyruszyliśmy z Polski, poprzez Bałtyk i Ocean Atlantycki, do Rio de Janeiro i stamtąd do portu Rio Grande. Tam to, po wielu dniach podróży, stanęliśmy wreszcie na stałym lądzie. Ojciec przywiózł ze sobą nieco odzieży i parę złotych. To był cały nasz majątek. Zgłosił się wówczas u przedstawiciela Rządu Brazylijskiego, który nas skierował w tę stronę. Nie było drogi; za ledwie ścieżka wycięta przez las. Ponieważ byłam mała, podróżowało mi się dobrze. Wsadzono mnie po prostu do jednego z dwu koszy dźwiganych przez muła i jechałam wraz z naszym dobytkiem przywiezionym z Polski oraz narzędziami, które nam podarowano: siekiery i motyki. Podróż podobała mi się. Musiałam jedynie uważać bym nie została zgniecioną, gdy muł przechodził między olbrzymimi drzewami, które stały nieraz zbyt blisko siebie.

Łuszczył do jedzenia. Przybyliśmy tu (Dom Feliciano) po wielu dniach wędrówki. I nie było tu niczego...”

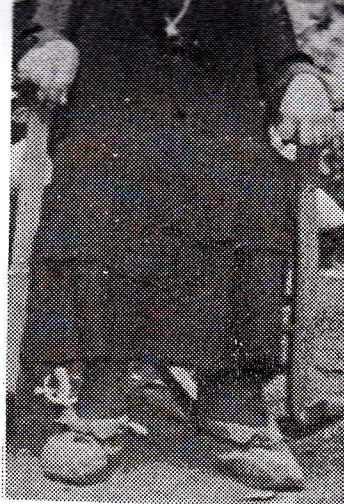
Opowiadała tak, z młodzieńczą żywnością umysłu, tą i wiele innych historii, które winny być zanotowane dla potomnych i, niestety, nie są zapisane.

Wyszła za mąż między 14 a 15 rokiem życia za Melchiora Chrostowskiego, który liczył 33 lata, a przybył z Krakowa, już po odbyciu tam pięcioletniej służby wojskowej. Mieli liczne potomstwo: dziesięcioro dzieci. Jedna z córek zmarła na zapalenie płuc, a najmłodsze jeszcze jako małeństwo. Dziadek Melchior stracił wówczas wzrok i jako niewidomy przeżył jeszcze 30 lat. Nie widział więc, gdy grupa nazistów zamordowała jego najmłodszego syna.

Babcia przetrzymała te wszystkie wydarzenia ze stoicyzmem.

15 sierpnia 1949 roku straciła męża. Począwszy od tej daty, od mego piątego roku życia, pamiętam wszelkie fakty z jej życia, bo miałam dla niej wiele szacunku i podziwu. Już sama jej wyniosła postawa i nieulekłe postępowanie zmuszały do szacunku. Od owego czasu, ponieważ wszystkie jej dzieci pozakładały już rodziny, zaczęliśmy jej towarzyszyć my — wnukowie, pomagając w kierowaniu domem, na roli i w hodowli. Obowiązkiem mego starszego brata było udać się do babci każdego wieczora, przespać się tam, ranniem wydcieć wspólnie krowy, wrócić konno z mlekiem i udać się do szkoły. W 1954 roku przyszła moja kolej zamieszkania u niej. Dostałem się wówczas do szkoły jej domorosłej pedagogiki. Celowo nie rozmawiała ze mną po portugalsku. Dzięki temu, w mniej niż 6 miesięcy, mówiłem już względnie dobrze po polsku. Każdej nocy odmawialiśmy wspólnie i głośno różaniec, Litanię do Matki Bożej, modlitwy za chorych i zmarłych oraz dziesięć przykazań. Wszystko po polsku. W okresie Bożego Narodzenia i Wielkanocy śpiewaliśmy jeszcze pieśni z tego okresu.

Starość postępowała powoli, ale nie złamała jej. Kiedy nogi odmówiły posłuszeństwa, nie pozwalając jej chodzić, wezwała jednego z synów, by zamieszkał u niej wraz z młodą synową z drugiego małżeństwa. Wyraziła też pragnienie, by po śmierci modlono się za nią w tym samym miejscu, gdzie uczy-



Kiedy rozpoczął się XX-ty wiek, ona miała już dwadzieścia lat i troje dzieci.

Przybyła z Łodzi, przemysłowego miasta Polski. Opuściła ojczyznę licząc za ledwie osiem lat, ale jeszcze przed wyjazdem rozpoczęła naukę w Szkole Podstawowej i nauczyła się pisać i czytać. Poza swym językiem ojczystym opanowała jeszcze, z pewną łatwością, rosyjski i niemiecki. Po przybyciu tu miała przez to ułatwiony kontakt z Brazylijczykami. Oto jak sama opowiadała o swojej podróży:

“Wyruszyliśmy z Polski, poprzez Bałtyk i Ocean Atlantycki, do Rio de Janeiro i stamtąd do portu Rio Grande. Tam to, po wielu dniach podróży, stanęliśmy wreszcie na stałym lądzie. Ojciec przywiózł ze sobą nieco odzieży i parę złotych. To był cały nasz majątek. Zgłosił się wówczas u przedstawiciela Rządu Brazylijskiego, który nas skierował w tę stronę. Nie było drogi; za ledwie ścieżka wycięta przez las. Ponieważ byłam mała, podróżowało mi się dobrze. Wsadzono mnie po prostu do jednego z dwu koszy dźwiganych przez muła i jechałam wraz z naszym dobytkiem przywiezionym z Polski oraz narzędziami, które nam podarowano: siekiery i motyki. Podróż podobała mi się. Musiałam jedynie uważać bym nie została zgnieciona, gdy muł przechodził między olbrzymimi drzewami, które stały nierzadko zbyt blisko siebie.

Już podczas tej podróży poznałam sporo dzikich zwierząt. Co jakiś czas przełykały naszą ścieżkę jaguary i jadowite żmije. Targały się w błocie dzikie świni. Gdyśmy się zatrzymali na postój, ojciec postanowił upolować jakiegoś dzika, byśmy mieli co jeść. W jakiś sposób, skoro nie mieliśmy broni? Wyciosał siekierą korytko, postawił je gdzieś przedtem dzięki baraszkowaniu i nalał doń wódki. Ukryliśmy się, oczekując. Niebawem nadeszły, powąchały i zaczęły pić. Wkrótce stały się sennie i posnęły. Już z łatwością udało się wtedy zabić nożem dwa z nich. Mieliśmy już suszone mięso i

nie są zapisane.

Wyszła za mąż między 14 a 15 rokiem życia za Melchiora Chrostowskiego, który liczył 33 lata, a przybył z Krakowa, już po odbyciu tam pięcioletniej służby wojskowej. Mieli liczne potomstwo: dziesięcioro dzieci. Jedna z córek zmarła na zapalenie płuc, a najmłodsze jeszcze jako małeństwo. Dziadek Melchior stracił wówczas wzrok i jako niewidomy przeżył jeszcze 30 lat. Nie widział więc, gdy grupa nazistów zamordowała jego najmłodszego syna.

Babcia przetrzymała te wszystkie wydarzenia ze stoicyzmem.

15 sierpnia 1949 roku straciła męża. Począwszy od tej daty, od mego piętego roku życia, pamiętam wszelkie fakty z jej życia, bo miałem dla niej wiele szacunku i podziwu. Już sama jej wyniosła postawa i nieulekłe postępowanie zmuszały do szacunku. Od owego czasu, ponieważ wszystkie jej dzieci pozakładały już rodziny, zaczęliśmy jej towarzyszyć my — wnukowie, pomagając w kierowaniu domem, na roli i w hodowli. Obowiązkiem mego starszego brata było udać się do babci każdego wieczora, przespacerować się tam, rannym wydećć wspólnie krowy, wrócić konno z mlekiem i udać się do szkoły. W 1954 roku przyszła moja kolej zamieszkania u niej. Dostałem się wówczas do szkoły jej domorosłej pedagogiki. Celowo nie rozmawiała ze mną po portugalsku. Dzięki temu, w mniej niż 6 miesięcy, mówiłem już względnie dobrze po polsku. Każdej nocy odmawialiśmy wspólnie i głośno różaniec, Litanie do Matki Bożej, modlitwy za chorych i zmarłych oraz dziesięć przykazań. Wszystko po polsku. W okresie Bożego Narodzenia i Wielkanocy śpiewaliśmy jeszcze pieśni z tego okresu.

Starość postępowała powoli, ale nie złamała jej. Kiedy nogi odmówiły posłuszeństwa, nie pozwalając jej chodzić, wezwała jednego z synów, by zamieszkał u niej wraz z młodą synową z drugiego małżeństwa. Wyraziła też pragnienie, by po śmierci modlono się za nią w tym samym miejscu, gdzie uczyniła to przedtem ze swym mężem i dziećmi.

I tak zrobiliśmy. Nastąpiło to w niedzielę, dnia 6 kwietnia br., przy wielkim napływie ludności, wśród pieśni żałobnych, po otrzymaniu przez nią Ostatnich Sakramentów.

Odeszła właśnie w roku obchodów stulecia kolonizacji polskiej, ona — pionierka. Wypełniła swą misję.

Nie znała komfortu XX wieku. Nie używała radia; nie znała telewizji; nie miała w domu instalacji wodnej ani elektrycznej, ani ciepłej wody w łazience, ale zdobyła wieczne szczęście.

Babcu! Niebawem znowu będziemy razem!